

MACIEJ SŁOMCZYŃSKI
Joe Alex 🔍

Śmierć *i Kowalski*



BUKOWY LAS

ROZDZIAŁ,

w którym pomimo dobrej woli obu stron Śmierć nie spotyka się z Kowalskim

Skończył się gorący, bezchmurny dzień nad morzem. Na dalekim cyplu niewidzialna latarnia morska puściła w ruch dwa białe promienie, muskając nimi leżące na redzie statki, ptasie sylwetki dźwigów, usypiające na wodzie mewy i rozrzucone na łagodnych wzgórzach miasto. Na linii styku wód i lądu pootwierały się kolorowe oczka lamp pozycyjnych i boi sygnałowych, które kołysały się na morzu spokojnym, falującym leniwie i pokrytym plamami oliwy. Wilgotny odbłask świateł wieczoru położył się na szybach okien i na wyslizganych szynach skomplikowanej siatki torów kolejowych, oplatających port i uciekających pomiędzy wzgórza w głąb lądu, który niknął już pośród nocy.

Pociąg pośpieszny, którym Śmierć jechała na spotkanie z Kowalskim, był jeszcze daleko od miasta, lecz zbliżał się nieustannie z nieuchronną pewnością dobrze pracującego mechanizmu. Oczywiście Kowalski nie miał o tym pojęcia. Nie wiedział także, że gdyby pewna dziewczyna nie wybrała się z wizytą do ciotki, idąc tą właśnie ulicą, a nie inną, nie dożyłby następnego ranka. Nie dożyłby najprawdopodobniej następnego ranka, gdyby dziewczyna ta nie spostrzegła, że jest bardzo przystojny, i gdyby odeszła, nie zatrzymując się zupełnie bez potrzeby na tak długo przed oknem zamkniętej księgarni. No i nie dożyłby, oczywiście, następnego ranka, gdyby nie miał narzeczonej i gdyby narzeczonej ta nie była tak bardzo zazdrosna, że nerwy ponosiły ją nieomal automatycznie na widok każdej kobiety zdradzającej jakiegokolwiek zainteresowanie jego osobą.

W chwili kiedy zaczyna się nasza opowieść, Kowalski jest sam, stoi na chodniku jednej z ulic śródmieścia Gdyni i spogląda na zegarek. Oczekuje Kazimierza Kity, jedyne go swego przyjaciela, z którym do spółki ma taksówkę numer 448, bardzo starego opla – najprawdopodobniej weterana drugiej wojny światowej. Kowalski ma dziś nocną zmianę i umówili się, że dziesięć przed dziesiątą Kita podjedzie do tego właśnie narożnika, żeby przekazać wóz.

Kowalski zerknął na zegarek i westchnął. Była za pięć dziesiąta. Podeszedł do skraju chodnika, spojrzął w lewo i w prawo, ale żaden samochód nie pojawiał się w perspektywie ulicy.

Zawrócił i stanął przed jasno oświetloną witryną księgarni, przyglądając się od niechcenia okładkom, pogwizdując cicho i bardzo fałszywie, a jednocześnie zastanawiając się nad tym, w który kraniec rozległego Trójmiasta mógł pchnąć Kazika jakiś daleki kurs.

I wtedy dziewczyna wyszła zza rogu, idąc w jego kierunku. Pusta ulica najpierw podała mu echo kroków, później uniósł głowę. Już z daleka zauważył, że dziewczyna jest smukłą, ubrana w białą sukienkę i niesie pleciony koszyk. Ponieważ niecierpliwił się trochę, a Kazik powinien był nadjechać lada sekunda, więc nie spojrzał na nią po raz drugi i odwrócił się ku wystawie sklepu. Ale że wystawa w nocy działa trochę jak lustro, zobaczył w niej własne odbicie: wysokiego, barczystego, młodego mężczyznę o szczupłej, opalonej twarzy, wesołych oczach i krótkich, ciemnych, trochę zmierzwionych włosach, które lubił odruchowo przeczesać palcami. Ubrany był w czarne brezentowe spodnie, rozpiętą na piersi kolorową koszulę i skórzaną szoferską kurtkę, zarzuconą luźno na ramiona, bo wieczór był bardzo ciepły.

Odgłos kroków ucichł i Kowalski ujrzał obok siebie odbity w szybie, zamglony zarys dziewczyny. Nieznacznie zwrócił oczy w lewo, a potem znowu spojrzał na wystawę. Dziewczyna studiowała z uwagą okładki książek, przesuając powoli oczyma od jednej do drugiej. Kowalski odruchowo przyglądał palcami czuprynę, powstrzymał uśmiech i chrząknął cicho. Dziewczyna nie drgnęła. Zachowywała się tak, jak gdyby prócz niej

nie było nikogo przed sklepem. Chrząknął więc po raz drugi i nabrawszy głęboko powietrza jak człowiek, który niespodziewanie musi skoczyć do wody, powiedział z miną zagubionego, dobrego dziecka:

– Przepraszam bardzo... bo właśnie pani na pewno zna się dobrze na książkach, prawda? A ja muszę kupić jedną książkę.

Dziewczyna raptownie odwróciła ku niemu głowę. Minę miała trochę zagniewaną, ale zaraz uniosła ze zdziwieniem ładne, czarne, nieomal zrosnięte nad nosem brwi.

– Jak to, proszę pana? Przecież księgarnie już dawno są zamknięte. Nie kupi pan dzisiaj żadnej książki.

– Tak, ja wiem, bardzo dobrze wiem, że nie dzisiaj. Ale pomyślałem sobie, że tego... że dobrze by było, że bym sobie jutro kupił taką książkę.

– A jaką? – Dostrzegł, że dziewczyna z trudem powstrzymuje uśmiech.

– Taką, widzi pani, poważną jakąś. Nie znam się na tym, bo czasu zupełnie nie mam. Tyle tylko, że się jakiś kryminal przeczyta, i to wszystko. Ciągłe zajęty jestem i... – zaplątał się trochę, ale zaraz dokończył: – Właśnie to, że czasu człowiek nie ma na co innego niż robota. Prawie na nic się nie ma czasu.

Westchnął i rozłożył ręce, jak gdyby chcąc wziąć cały świat na świadka, że mówi to serio i nie ma żadnych złych zamiarów.

– To zupełnie jak ja. – Dziewczyna przełożyła koszyczek z prawej ręki do lewej i mimowolnym, ładnym,

zupełnie niepotrzebnym ruchem poprawiła włosy nad czołem. – Ale ja to muszę powiedzieć, że po prostu przepadam za kryminalami, no i za takimi, żeby było w nich coś bardzo smutnego o miłości. Wie pan, o tym, że się kochają, a nic im się nie udaje, bo źli ludzie albo zły los przeszkadzają ciągle i dopiero na końcu wszystko się pięknie zgadza i są szczęśliwi.

– Tak. – Kiwnął głową ze zrozumieniem. – To też jest niezłe, ale czasami za smutne. Szczególnie jak się smutnie kończy. Lubię, kiedy on ją ratuje w ostatniej chwili, gdy już, już ma się stać coś strasznego i żadnego ratunku dla niej znikąd nie ma. Po tym ocaleniu ona zawsze zaczyna się w nim kochać. – Urwał i uśmiechnął się, patrząc na nią odważnymi, wesołymi oczyma. – Żeby tak być szczerym, to panią uratowałbym z przyjemnością.

– Mnie? Kiedy mi nic nie grozi. – Dziewczyna zaczęła się śmiać. Znowu przerzuciła koszyczek do prawej ręki i ruszyła powoli. Kowalski szedł obok niej, przyglądając się długim ceniom ich postaci, wydłużającym się tym bardziej, im dalej odchodzili od świecącej za plecami latarni.

– Nigdy nie wiadomo, co dziewczynie może grozić. – Zastanowił się. – Mógłby, na przykład, ktoś chcieć panią porwać.

– Wcale bym się nie zmartwiła! – Dziewczyna parsknęła śmiechem. – Czasem to sobie nawet marzę, żeby się coś takiego stało. To by była jakaś wielka przygoda w życiu...

– Nie o tym myślałem. Wyobraziłem sobie, że chciałby panią porwać jakiś zły człowiek, handlarz żywym towarem czy ktoś taki... I już by panią porywał, a wtedy ja bym wyjechał moim wozem zza rogu i jakoś by się wszystko ułożyło.

Rozejrzała się z komicznym zdumieniem i Kowalski pomyślał z cichą satysfakcją, że znajomość właściwie jest już zawarta.

– Przecież pan nie ma żadnego wozu.

– E... mam – powiedział, skromnie spuszczać oczy – to znaczy mam taksówkę, do spółki z kolegą. Właśnie czekam tu na niego, bo teraz moja kolej na noc. – Zerknął na zegarek. – Spóźnił mi się już dziesięć minut.

Spojrzała na niego z nietajonym szacunkiem.

– To chyba musi być przyjemnie tak sobie jeździć przez cały dzień samochodem i jeszcze zarabiać na tym. Zazdroszczę panu.

– Nie ma czego. Taka sama praca jak każda inna. A pani gdzie pracuje?

– Na poczcie, w okienku. Jestem taka panienka z okienka. W urzędzie na Grabówku. Strasznie nudno. – Mówiła już do niego, jakby się znali od dawna. – Tylko po pierwszym każdego miesiąca jest tłok. Wszyscy wtedy płacą jakieś raty i za telefon. A potem znowu cicho. Siedzi człowiek i w okno patrzy. Żeby miała taką taksówkę jak pan, tobym chyba nigdy z niej nie wysiadała! Tak lubię, żeby ciągle się coś zmieniało: ludzie, miejscowości...

Odruchowo wziął ją pod rękę. Znał takie dziewczyny. Nudziły się i zawsze były w poszukiwaniu kogoś, kto by z nimi chciał gdzieś pójść, gdzieś pojechać, coś przeżyć. Poza tym była, zdaje się, bardzo gadatliwa.

Ale Kowalski, chociaż nie posiadał zbyt wielu wad, a w każdym razie nie więcej niż inni ludzie, miał jedną, z którą nie umiał nawet walczyć: słabość do każdej przystojnej dziewczyny. Po prostu m u s i a ł uśmiechnąć się na widok ładnej buzi i m u s i a ł coś powiedzieć, nawet gdyby nie chciał. A przecież już od paru miesięcy naprawdę nie chciał, bo w głębi serca wiedział, że jest zakochany w Marlence Sęk. Równocześnie wiedział, że Marlena jest najbardziej zazdrosną dziewczyną, jeżeli nie pod słońcem, to w każdym razie na całym pięćsetkilometrowym pasie wybrzeża. Gdyby była gdzieś w okolicy taka druga, musiałby chyba o niej usłyszeć.

Ale nie chciał teraz myśleć zbyt wiele o Marlenie.

– Tak pani lubi „spacerować” samochodem? – zapytał pogodnie. – To może jak Kazik – to znaczy mój kolega – zajedzie tutaj, pojedziemy sobie gdzieś trochę? Wieczorem miasto zawsze jest ciekawsze, wie pani? Ciągle się coś dzieje.

– To pan chyba nieżonaty? – Dziewczyna się roześmiała. – Żonaty bałby się zapraszać obcą osobę na przejażdżkę.

– Nie... – Kowalski zawahał się na mgnienie oka. – Żonaty nie jestem.

– Oho! – Dziewczyna pokiwała głową ze zrozumieniem. – Narzeczona, tak? Widzi pan, jak to nieładnie!

My, kobiety, zawsze wam wierzymy, nie wiadomo dlaczego, a wy...

Zawiesiła głos i nie dokończyła, ale uśmiech na jej ustach świadczył, że nie zanadto przejęła się losem nieznannej narzeczonej tego na pół nieznanego sobie człowieka.

– O, jedzie mój wóz! – powiedział prędko Kowalski, słysząc za plecami szum silnika. Przystanęli i odwrócili się.

Trochę rozklekotany stary opel wysunął się powoli zza rogu ulicy i skręcił w ich kierunku. Po chwili zatrzymał się i siedzący za kierownicą człowiek skinął im głową. Potem wysiadł, wytarł pot z czoła nagim przedramieniem i zatrzasnąwszy drzwiczki, podszedł ku stojącym. Dziewczyna nieznacznie wyzwoiliła rękę i znowu poprawiła włosy.

– Dobry wieczór – powiedział Kita, patrząc na dziewczynę, a mówiąc do Kowalskiego. – Bałem się, że będziesz się tu nudził, ale widzę, że pani była taka grzeczna, że czekała z tobą. Żebym wiedział, że tak jest, nie gnałbym z Sopotu na złamanie karku, bez pasażera. – Ukłonił się z wyczekującą miną.

Kowalski zrobił nieokreślony ruch ręką.

– To mój kolega, pan Kita, a to... znajoma. – Tamci podali sobie ręce. – A ja też się jeszcze nie przedstawiłem, Kowalski jestem. – Wziął w swoją wielką, opaloną rękę drobną, ale jeszcze ciemniejszą dłoń dziewczyny i ucałował ją poważnie.

– Ahaa... – powiedział Kita ze zrozumieniem. – To pewnie pani czekała na taksówkę i powiedziałaś, że możesz odwieźć panią, jak tylko przyjadę? Rozumiem.

– Nie. – Kowalski energicznie potrząsnął głową i znowu ujął dziewczynę pod ramię. – Pani właśnie chciała mi poradzić, jaką mam książkę jutro kupić.

– Książkę? – powiedział Kita z tak wyraźnym niedowierzaniem, jak gdyby przyjaciel zakomunikował mu, że ta ładna dziewczyna chce mu pomóc w kupnie zdrowego młodego nosorożca. – A na co ci książka, Heniu?

– A tak... Wiesz, człowiek musi czasami coś poważnego przeczytać. – Kowalski zdawał się o tym absolutnie przekonany. – Prawda, panno... panno...

– Halinka – powiedziała dziewczyna. – Ale ja już pójdę. Szłam do cioci i już tak późno, że ciocia mnie skrzyczy. Zawsze się do niej spóźniam, a dzisiaj spóźniłam się chyba już z półtorej godziny. Prosiła, żebym u niej zanocowała, bo się źle czuje.

– No, to podwiozę panią do cioci! – zdecydował stanowczo Kowalski. – A jakby się nam trafił po drodze jakiś pasażer, to nadłożymy trochę, prawda?

– Bardzo pan grzeczny, ale ciocia mieszka o tam, zaraz za rogiem.

– To nic. – Kowalski puścił ją i uniósł rękę, wskazując zapraszającym gestem samochód, stojący potulnie przy krawężniku i pomrukujący cicho niewygaszonym silnikiem. – Zawsze jakoś dojedziemy do cioci na czas.

Podszedł do drzwiczek taksówki i otworzył je.

– Konie już zaprężone, jaśnie panienko! – Ukłonił się nisko, a potem skinął przyjacielowi. – Serwus, Kaziu! To do jutra!

– Serwus! – Kita odwracał się już na pięcie, żeby odejść. – Będę punktualnie o dziesiątej! Tylko mi się gdzie nie zawierusz!

– Nie ma obawy! Panna Halinka nie da mi zginąć! – Kowalski zgasił motor, potem zapuścił go znowu, patrząc na dziewczynę, która usadowiła się obok niego, uśmiechając się. Położył dłoń na biegach i spojrzał na nią spod oka. – To co? Musi pani tak od razu pojechać do cioci?

– Chyba tak... – powiedziała z wahaniem. – Zresztą co by pan sobie o mnie pomy...

Nie dokończyła, bo zanim wóz drgnął, dobiegł ich ostrzegawczy głos Kity.

– Heniek! Ruszaj!

Gdyby Kowalski zrobił to, czego chciał jego przyjaciel, to znaczy: ruszył, wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale Kowalski zdziwił się i odwrócił głowę, nie ruszając z miejsca.

Zobaczył Kitę stojącego na chodniku, a tuż za nim nadchodzącą szybko...

Uśmiech zniknął z twarzy Kowalskiego, jak gdyby ktoś przejechał po niej mokrą gąbką. Zgrabna, smukła, jasnowłosa dziewczyna przecinała chodnik, zbliżając się szybko do taksówki.

Stuk, stuk, stuk... Małe pantofelki na bardzo wysokich obcasach wybijały energiczny rytm. Na twarzy dziewczyny też już nie było uśmiechu. Zbliżyła się i Kowalski spojrzał w zielone oczy, które od roku uważał za najpiękniejsze oczy świata, a które nie były teraz piękne. Zwężyły się i rzucały malutkie zielone ogniki, których pomimo najwyższych wysiłków nie pokochał nigdy

i obawiał się bardziej niż czegokolwiek, chociaż był człowiekiem odważnym i niełatwo go było przestraszyć.

Jasnowłosa dziewczyna podeszła do auta i pochyliwszy się lekko, znieruchomiała, wpatrzona w siedzącą wewnątrz parę. Nie odezwała się ani jednym słowem.

Wreszcie powoli wyciągnęła rękę. Siedząca w środku pasażerka cofnęła się mimowolnie. Ale jasnowłosa spokojnie dotknęła dłonią licznika i pochyliła chorągiewkę.

– Zapomniałeś złamać licznik – powiedziała. – Bardzo jesteś roztargniony, Heniu...

Kowalski ożył w tej chwili i uśmiechnął się z ogromnym wysiłkiem.

– Marlenka! – powiedział z lekkością i swobodą, w których nawet dziecko dostrzegłoby ogromny wysiłek człowieka niebędącego aktorem i zmuszonego do intonacji absolutnie odległej od uczuć, jakie go w tej chwili przepełniały. – Co tu robisz? Myślałem, że już dawno śpisz!

– Jestem o tym przekonana. – Marlenka była nadal spokojna, ale w głosie jej zadrżała małeńka nutka, która wywołała w Kowalskim panikę, a jego towarzysze kazala zesztywnieć na siedzeniu.

– Zaczekaj! Tylko odwiozę panią i zaraz wracam. – Kątem oka dostrzegł stojącego na chodniku Kite, który powoli zapalał papierosa, obserwując całą scenę poprzez płomyk zapalki.

– Myślę, że ta pani doskonale pójdzie sobie pieszo. – Głos Marlenki podniósł się ostrzegawczo, ale ciągle jeszcze mówiła cicho. – Na pewno jest przyzwyczajona do długich spacerów.

Dopiero teraz Halinka odzyskała głos.

– Jak pani do mnie mówi? – powiedziała, chcąc, żeby to zabrzmiało z godnością, ale słowa te wypadły trochę żałośnie. – Ja tylko...

– Siostro... – Marlenka zakołysała się lekko. Kita zgasił zapalkę i znieruchomiał z papierosem w kąciku ust. – Powiedziałam ci, że pójdziesz pieszo, a jeżeli nie pójdziesz, to... – tu głos na chwilę odmówił jej posłuszeństwa, a potem wzniósł się nagle nieomal do krzyku – to cię odniosą!

– Ale przecież ja... Co też pani...

Mówiąc to, protestując, otworzyła drzwiczki i minęła Marlenkę, która powoli odwróciła się za nią i patrzyła za oddalającą się sylwetką. Razem z nią patrzył Kowalski, siedzący nadal za szybą auta, i Kita, stojący na chodniku. Dopiero kiedy pośpieszne kroki dziewczyny ucichły nagle za rogiem, Marlena odwróciła się błyskawicznie na pięcie.

– Ty... ty... ty... – Zabrakło jej słów i wybuchnęła płaczem, kryjąc twarz w dłoniach, oparta o błotnik samochodu.

Kowalski wyskoczył z auta i dając rozpaczliwe znaki przyjacielowi, podszedł do niej, ostrożnie próbując wziąć ją za rękę.

– Marlenko...

– Nie dotykaj mnie! – Wyrwała mu dłoń i odskoczyła. – Brzydzę się tobą. Brzyyyydzę! – Znowu zaczęła płakać. Kowalskiemu wydało się, że w okolicznych domach ludzie otwierają okna i wychylają się na zewnątrz.

– O co ci chodzi? – zapytał, czując, że ręce zaczynają mu drżeć ze zdenerwowania. – Posłuchaj mnie, przecież to była tylko pasażerka...

Ale Marlena nie słuchała go.

– Coś ty mi zrobił. Coś ty mi zrobił, Heniu... Ja się zabiję... zobaczysz. Ja tego dłużej nie wytrzymam. Jakbym wiedziała: chciałam usnąć, ale nie mogłam i wiedziałam, że się tu zmieniacie. I pomyślałam, że na pewno będziesz z jakąś... z jakąś... – Ostatnie słowo rozplynęło się we łzach.

Kowalski obejrzał się bezradnie. Jak miliony mężczyzn przed nim był tak pełen poczucia winy, że nie mógł zdobyć się na stanowcze zaprzeczenie, które by ją przekonało, chociaż czuł, że Marlena chce się dać przekonać i czeka przecież na to, żeby jej wytłumaczył wszystko. Wiedział, że byłaby najszczęśliwsza, mogąc go przeprosić za swój wybuch. Ale na razie był tak przekonany o słuszności jej zachowania, że trudno było coś wymyślić naprędce.

– Kazik! – powiedział do przyjaciela, kiwając do niego ręką za plecami płaczącej. – Weź na chwilę wóz i jedź. Jutro odrobię za ciebie ten czas. Ja muszę z nią zostać, bo... bo sam widzisz...

– Możesz jechać! – powiedziała dziewczyna, nie unosząc głowy. – Jedź i nie wracaj.

Kowalski westchnął.

– Bądź za pół godziny na postoju przed Dworcem Głównym – powiedział. – Czekaj na mnie, a jakby ci się trafił kurs, to ja zaczekam, aż wrócisz.

Kazik Kita także westchnął. Ale nie powiedział ani słowa, tylko skinął głową, wsiadł do auta i odjechał.

Kiedy samochód ruszył, Marlenka cofnęła się i z pochyloną głową, popłakując cicho, poszła przed siebie.

– Marlenka!

Dogonił ją, położył silne ręce na jej ramionach i chociaż stawiała opór, odwrócił ją ku sobie.

– Powiedz, kochana, jak to będzie? Przecież ja jestem kierowcą, mam taksówkę i z tego żyję. Może do mnie wsiąść, kto chce, staruszek czy młoda dziewczyna. I dla każdego muszę być grzeczny. Jeżeli będziesz taka zazdrosna, to co ja mam zrobić? Rzucić pracę? Odstąpić udział w wozie? Przecież mamy się pobrać. I z czego będziemy żyli? Ja nic innego nie potrafię, od chłopaka prawie siedzę za kółkiem. Nawet w wojsku byłem kierowcą. Co ja mam robić, Marlenka?

Był tak przejęty tym, co mówi, że zupełnie już zapomniał, jak wyglądała dziś wieczór prawda. Ale wiedział, że ma słuszość bez względu na to, jak ta prawda wygląda. Marlena była zazdrosna o wszystko: o kobiety, o przeszłość, o przyszłość, a najbardziej o to, że siedząc za kierownicą, znikał jej na długie godziny z pola widzenia i wtedy wyobraźnia nasuwała jej to wszystko, czego się najbardziej obawiała. Może instynktownie wyczuwała, że ten trochę za przystojny chłopak, którego tak pokochała i który zawsze był dla niej tak dobry, jest równocześnie trochę popsuty przez legion innych dziewcząt, które przewinęły się przez jego życie. Dlatego bała się wyjść za

niego za męża, chociaż było to jej jedynym poważnym pragnieniem i nie wyobrażała sobie życia bez niego. Zresztą nigdy, chociaż wszyscy jego koledzy i wszystkie jej koleżanki wiedziały, że jest jego dziewczyną, nie rozmawiali o małżeństwie.

– Słuchaj, a może byśmy się pobrali? – powiedział nagle Kowalski, idąc obok niej.

Pytanie to było tak bliskie tego, o czym właśnie myślała, że uniosła głowę i spojrzała na niego zaskoczona. Oczy miała ciągle jeszcze pełne łez i dlatego widziała go przez lekką, zamazującą kontury mgiełkę.

– Pobierzmy się – powtórzył. – Wtedy może wszystko będzie inaczej. I ty nie będziesz taka zazdrosna, i ja... – dokończył trochę niepewnie – też będę inny.

WYDAWNICTWO BUKOWYŁAS



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

KLASYKA KRYMINAŁU



To miał być ostatni kurs...

W Trójmieście od pewnego czasu powtarzają się tajemnicze morderstwa taksówkarzy. Sprawa jest tym bardziej niepokojąca, że można mówić już o serii podobnych przypadków. Każda z ofiar była widziana po raz ostatni w tym samym miejscu – w okolicach dworca w Gdyni. Kierujący śledztwem porucznik Szymański podejrzewa, że w zabójstwa zamieszany jest Kowalski, którego zmiennik dopiero co zginął.

MACIEJ SŁOMCZYŃSKI (JOE ALEX). Pisarz i tłumacz. Jako jedyny przetłumaczył wszystkie utwory Williama Shakespeare'a. Autor przekładów dzieł klasycznych, m.in. *Ulissesa* Jamesa Joyce'a. Twórca powieści sensacyjnych i kryminalnych, które doczekały się znakomitych ekranizacji z udziałem gwiazd polskiego kina.

Nr 21000263/D0

ISBN 978-83-8074-821-7



9 788380 748217



bukowyłas.pl

Cena: 34,90 zł